Nr. 2. Lwów, 15. stycznia 1902 Rok XXV.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wyprawa myśliwska
Hr. JÓZEFA POTOCKIEGO
do Sudanu.

(Dokończenie).

Począwszy od Nuby droga karawanowa porzuca brzegi rzeki, uchylającej się znacznie na prawo, a wskutek tego omija wszelkie osady ludzkie, które, jak wiadomo, rozsiane są prawie wyłącznie nad samym Nilem. To też w ostatnim dniu naszej podróży jechaliśmy ciągle stepem bezludnym, zostawiając na prawo wsie i miasteczka, które grupami palm daktylowych zdradzały swoją obecność. O pół do 10-tej zatrzymaliśmy się na chwilę przy studzience, na ruinach jakiegoś domowstwa. Stefan i Ahmed szybko rozstawili składany stolik i krzesła. Zakąsiliśmy zimnemi konserwami, popiliśmy Apollinarisem i winem białem, a wpół godziny potem jazda w drogę! Pusty i monotonny step nie dawał nam dokładnej miary, jak szybko się naprzód posuwamy. Czasami, gdy nam nogi za bardzo od długiej jazdy zemdlały, zsiadaliśmy z naszych wierzchowców i biegliśmy kłusem, lub szliśmy szybkim krokiem. Dawało to wypoczynek i nam, i naszym rumakom.

Była może godzina 12-ta w południe, gdy w oddali, nad horyzontem ujrzeliśmy dwie niewielkie, podłużne chmurki. Rosły one stopniowo, zbliżały się do siebie i do linii horyzontu, aż w końcu zlały się w jednę i z widnokręgiem złączyły. Potem rosły ciągle i rosły, póki nie przybrały form wielkiego pasma gór, widzianego ze znacznej odległości. Były to niewysokie wzgórza za Omdurmanem — miejsce, na którem przed pół trzecia rokiem generał Kitchener złamał potęgę Kalify. Z racyi mirażu wzgórza te przybrały rozmiary potężnego łańcucha górskiego.

Odtąd byliśmy świadkami całej seryi zmian na dalekim widnokręgu. Na prawo od pasma gór poczęły występować pojedyncze plamki, które znów stopniowo rosły, łączyły się ze sobą i zlewały z horyzontem. Jednocześnie wynurzała się z przezroczego, jak kryształ, powietrza jedna wielka podłużna czerwonawa plama, o konturach nierównych i bezustannie falujących. Był to Chartum ze swemi palmami i z wielkim gmachem kolegium Gordona, który Anglicy na cześć wielkiego wodza ze składek wznoszą.

I rumaki nasze, przeczuwając bliski koniec mozolnej podróży, raźno się naprzód posuwały. Odległość malała szybko, coraz wyraźniej rysowały się kontury pojedynczych domostw. O kwandrans na 2-gą mijaliśmy murzyńską dzielnicę miasta, a w pół godziny potem z niekłamaną radością zajeżdżaliśmy przed werendę chartumskiego hotelu, przebywszy w pół dnia 55 kilometrów, jakie dzielą Nubę od Chartumu.

Była to chwila luncheon'u, więc też przy kilku stołach siedział z dziesiątek gości hotelowych, którzy nam się pilnie przypatrywali. Znać jednak było po ogorzałych twarzach, że to nie turyści. Zresztą sezon turystowski już się był skończył.

Dyrektor hotelu przyniósł nam cały pakiet listów i „Kuryerków Warszawskich“, które z chciwością odczytywaliśmy, zanim nam jedzenie przyrządzono. Samo pobieżne czytanie listów zajęło mi blisko 2 godziny czasu. „Kurjery“ zostawiłem na potem, aby je skrupulatnie przestudyować, niemal że z ogłoszeniami.

Przypominam wam, że przyjazd nasz do Chartumu wypadł w sobotę 16 marca.

Była to okoliczność bardzo szczęśliwa, bo następnego wtorku miał odejść z Chartumu ostatni w sezonie pociąg osobowy. Mieliśmy więc dosyć czasu, aby nasze rzeczy spakować i przed odjazdem różne sprawy załatwić.

Wśród gości hotelowych poznaliśmy kapitanów Sanders'a i Dugmore'a. Pierwszy z nich, gubernator Fashody, wiózł ze sobą parę kłów zabitego przez siebie słonia, z których każdy ważył około 140 funtów angielskich; są to zatem największe kły, zdobyte przez sportsmena. Znane są wprawdzie z wystawy antwerpskiej kły, ważące po 200 funtów, lecz tamte były niewiadomego pochodzenia i rekord w tym razie należy do kap. Sanders'a. Żądał on za te wspaniałe trofea 300 funtów szterl. (Około 3000 rubli).

Dugmore, wracający z Ugandy, wiózł ze sobą również parę wspaniałych kłów słoniowych, ważących 106 i 104 funty.

Poznaliśmy też w Chartumie porucznika Bertranda, Belgijczyka, zostającego na służbie państwa Congo. Znany ten eksplorator przedostał się tu z Congo i wracał teraz na urlop do kraju po 3 latach nieobecności. Mieliśmy z niego nadzwyczaj sympatycznego towarzysza podróży w drodze do Kairu.

Nie będę was nudził szczegółami naszej powrotnej drogi. Zaznaczę tylko, że z Chartumu wyruszyliśmy we wtorek 19 marca i stanęliśmy w Wadi-Halfa w czwartek. Stąd na rządowym parostatku zrobiliśmy podróż do Assuanu, gdzieśmy stanęli 23 marca, a następnego dnia o godzinie 7 rano byliśmy już w Kairze. Napływ turystów z końcem sezonu był tu tak wielki, le ledwie dostaliśmy 2 miejsca na statku „Semiramis“, na którym w d. 30 marca odpłynęliśmy z Aleksandryi.

W Brindisi pożegnałem hr. Potockiego, który zdążał na święta Wielkiej Nocy do Rzymu, a sam stanąłem na Wielki Piątek wieczorem w Warszawie, witany przez dobrych moich przyjaciół. Tak więc podróż moja trwała równo trzy miesiące.

Rzućmy teraz okiem na rezultat naszej wyprawy. Oto spis zwierzyny, zabitej przez nas obu:

Słoń (samica)	1
Lew (samica)	1
Bawół (młody samiec)	1
Hypopotam (stary samiec)	1
Antylopa „roan“ (*Hippotragus equinus*) .	3
Antylopa „waterbok“ (*Kobus defassa*) .	1
Antylopa „hartebeest“ (*Bubalis tora*) . .	1
Gazella „ariel“ (*Gazella Soemmeringi*) .	15
Gazella rdzawoczelna (*Gazella rufifrons*) .	5
Antylopa „baszmat“ (*Cervicapra bohor*) .	7
Antylopa „mora“ (*Oribia montana*) . .	5
Phacocher (*Phacochoerus aeliani*) . . .	3
Ogółem	44 sztuk *)

grubego zwierza.

Czy rezultat ten uważać należy za dobry? Odpowiedź na to znajdziemy w zestawieniu powyższych cyfr z ilością czasu, jaki na właściwe polowanie użyliśmy. Bo jakkolwiek podróż nasza zajęła okrągłe 3 miesiące, to jednak na terenach myśliwskich spędziliśmy zaledwie 23 dni, to jest od 13 lutego (przybycia do Rigueby) do 7 marca (powrót i wyjazd z Rigueby). W tych 23 dniach były też całe dni i półdniówki marszu, podczas którego zabicie jakiejbądź sztuki wypadkowo tylko zdarzyć się mogło; a w dodatku, mój charakter preparatora i kolekcyonera ptaszków nie zawsze pozwalał mi się oddawać ulubionemu sportowi. Biorąc to i drugie pod uwagę, obliczyłem skrupulatnie, według dziennika, wszystkie dni polowania, licząc za dzień pełny — jeśli obaj robiliśmy całodniową wycieczkę myśliwską, za pół dnia — jeśli obaj polowaliśmy tylko pół dnia i za $1/4$ dnia, jeśli jeden z nas dwóch polował tylko $1/2$ dnia, gdy drugi pozostawał w obozie. Według tego porządku wypada nam: 9 pełnych dni, 6 pół dni i 4 ćwierć-dni, co razem daje *13 pełnych dni polowania w czasie całej naszej wyprawy.*

Mając to na względzie uważać musimy rezultat naszej wyprawy jako bardzo dobry i za taki też uważanym jest przez miarodajnych sportsmenów wiedeńskich.

Nie od rzeczy też będzie zestawienie rezultatów czterech innych wypraw, które jednocześnie z nami Sudan odwiedziły.

Wyprawa Hoyos-Buxton. Brało w niej udział czterech uczestników (dwóch hr. Hoyos'ów i dwóch braci Buxton'ów). Kierunek: prawy brzeg Białego Nilu. Czas

---

*) Oprócz tego padło: pentarek 62, dzikich gęsi 2, dzikich kaczek 12, żórawi 7, ibisów 2, orłów 2, jastrzębi 2 i 80 drobnych ptaszków, które powiększyły zbiory Muzeum hr. Branickich w Warszawie.

trwania wyprawy (od Chartumu do Chartumu) ten sam, co i naszej, ekspedycyi, lecz sportsmeni ci znacznie szybciej od nas dotarli do terenów myśliwskich i później je opuścili. Zabito: 8 bawołów, 1 lwa, 1 lamparta, 1 servala i 72 antylop. Jeden z uczestników, a mianowicie młodszy hr. Hoyos, został silnie przez ranionego bawołu poturbowany, lecz na szczęście, skończyło się tylko na kontuzyach.

Wyprawa Teleky-Coloredo. Brało w niej udział dwóch sportsmenów (hr. Teleky i ks. Coloredo). Kierunek: Chartum, Wod-Medani na Gedaref do rzeki Atbary i jej brzegami powrót do Berberu. Czas trwania — dłuższy od naszej. Zabito: 2 słonie, 3 bawoły, 1 lwa i sporo antylop.

Wyprawa ks. Arenberga. Dwóch uczestników (ks. Arenberg i hrabia Le Marois). Kierunek identyczny z naszym (Chartum — Dissa i z powrotem). Czas trwania — nieco dłuższy od naszej. Zabito: 1 słonia (?), 1 hypopotama i trochę mniejszych antylop.

Wyprawa ks. Lichtensteina. Jeden uczestnik. Kierunek: Od Chartumu na El Obeid w głąb kontynentu. Przestrzeń przebyta (w jednym kierunku) — 1600 mil angielskich. Głównym celem wyprawy było zdobycie rzadkiego dzikiego barana (*Ovis tragelaphus*). Otóż ks. Lichtenstein barana tego nie zdobył, a zabiwszy tylko 4 *oryx'y*, powrócił do Chartumu.

Zestawiając powyższe rezultaty, widzimy, że czołowe stanowisko zajmuje bezwarunkowo wyprawa Hoyos-Buxton. Przyczyniła się do tego przedewszystkiem znaczna liczba uczestników (czterech); powtóre najbogatszy teren, jakim jest prawy brzeg Białego Nilu; a po trzecie względna szybkość dostania się do terenów myśliwskich (od Chartumu 6 dni parowcem), dzięki czemu wyprawa mogła odbywać polowania w ciągu 40 dni (od 27-go stycznia do 6 marca).

Jakkolwiek wyprawa hrabiego Potockiego zajmuje względnie do czasu i liczby uczestników drugie dopiero miejsce, to jednak pocieszyć się możemy, że poza sportsmeńskimi, zdobyła ona ważne rezultaty naukowe. Obecności w Sudanie antylopy: „baszmata“ (*Cervicapia bohor*) i rdzawoczelnej (*Gazella rufifrons*) nikt przedtem nie podejrzewał; zdobycie więc obu tych gatunków jest ważnym przyczynkiem do ich rozmieszczenia geograficznego. Nadto ostatnia z nich należy do wielkich rzadkości zoologicznych i niewiele europejskich muzeów może się poszczycić jej posiadaniem, a myśmy na szczęście zachowali jeden całkowity egzemplarz, który zdobi obecnie cenne antonińskie zbiory trofeów. Nie mogę też pominąć milczeniem, że doskonały rezultat naszej wyprawy w znacznej części przypisać należy wyjątkowej energii, oraz znakomitemu talentowi organizatorskiemu hr. Potockiego. Sam nieczuły na trudy i dolegliwości, przykładem swym nieustannie podtrzymywał w nas słabnącego pod wpływem znużenia ducha; sam o wszystkiem myślał, wszystko pamiętał, niczego nie pominął. Nic więc dziwnego, że wśród tych dzikich przestrzeni zażywaliśmy względnego dobrobytu, żeśmy na chwilę nie zerwali z cywilizacyą, bo nam ją ciągle wszelkie wygody obozowe przypominały.

Ja osobiście mogę się uważać za nadzwyczaj szczęśliwego, bo nie mówiąc o drobniejszej zwierzynie, z którą niemal codziennie miałem spotkania, w tak krótkim stosunkowo czasie udało mi się zetknąć z trzema najgroźniejszymi nieprzyjaciółmi człowieka: słoniem, lwem i bawołem. Nigdy też nie zapomnę hr. Potockiemu, że mnie do tej wyprawy zaangażował i do grobu wdzięczność dla niego poniosę, on to bowiem był przyczyną, żem wielki szmat Czarnego Kontynentu zwiedził i zaznał tak nowych, a tak silnych i trwałych wrażeń.

(*Łowiec polski, Sztolcman*).



Kilka słów na czasie.

W obecnej porze każdy dobry myśliwy — hodowca pilną winien zwracać uwagę na obronę naszej zwierzyny przed kłusownikami — pora ta — bowiem najwięcej dla nich sprzyjająca, zwłaszcza, gdy spadną duże śniegi. Sprytny złodziej zwierzyny wyczerpuje swoją pomysłowość, aby tylko jak najwięcej jej wytępić. Dbali myśliwi powinni obecnie pilnie kontrolować przy pomocy stróżów leśnych swoje rewiry leśne i pola, a napewno nie w jednem miejscu znajdą wnyki i sidła. I nietylko daleko w polu kłusownicy zastawiają „barbarzyńskie narzędzia“ — nawet tuż przy domowstwie, gdy zima tęga, — możemy często spotkać się z niemi, i tam więc trzeba zwrócić naszą uwagę. Sprawy kłusowników natychmiast skierowywać na drogę sądową i usilnie domagać się od sądu o naznaczenie im jak najsroższej kary. (Niestety prawodawstwo nasze posiada tylko bardzo lekką na nich karę — co bezwarunkowo w znacznej mierze przyczynia się do rozwielmożnienia się kłusownictwa; może „Warsz. Tow. Praw. Myśl.“ pomyśli o zmienieniu kary na sroższą, odpowiednio wystosowaną prośbą do władzy, tembardziej, iż ma poparcie wielkiego księcia, który jest założycielem i prezesem Tow. Myśl).

Gdy śniegi duże spadną a tym sposobem zwierzyna pozbawioną zostaje paszy naturalnej, należy zakładać paśniki z sianem, owsem — robić remizy, lizawki etc. Lizawki, paśniki i remizy należy codzień, a nawet 2 razy dziennie obchodzić w celu skontrolowania, czy przy nich kłusownicy nie zastawili sideł, lub wnyków. Nakoniec należy obiecać strażnikom i w ogóle policyi sowitą nagrodę za gorliwe prześladowanie kłusowników, coby było racyonalną dla nich zachętą i choć w części rewanżem ich lichego uposażenia. Wtedy mając pomoc — działając solidarnie, wspólnemi siłami — będziemy mogli jako tako zwalczać wiele przeszkód, jakie napotykamy ze strony kłusownictwa.

W tych dniach właściciel apteki w jednej z większych wsi Królestwa Polskiego, kupił od pewnego parobka (nazwiska którego nie chciał mi wyjawić !?) żywą kuropatwę, którą miał ów parobek niby-to przed jastrzębiem obronić i złapać. Gdym kuropatwę ową obejrzał — na-

tychmiast poznałem, iż rzekoma obrona przed jastrzębiem, — była tylko zręcznie ułożonym wybiegiem, kuropatwa zaś była złapana w sidła, o czem najlepiej świadczyły poodzierane ze skóry nogi, gdy się szamotała. Kuropatwę tę nabył p. aptekarz za 20 kop. Robiłem mu tedy wymówki, iż demoralizuje tym sposobem i upoważnia chłopów do karygodnego i barbarzyńskiego czynu; tłumaczył się p. aptekarz, iż gdyby był wiedział iż kuropatwa była złapaną w sidła, a zatem pochodziła z nielegalnie prowadzonego procederu naszych poczciwych wieśniaków, byłby nie kupował. Prosiłem jednak p. aptekarza, aby był łaskaw podobnie intratnych transakcyi na przyszłość zaniechać; co mi solennie przyrzekł. Fakt ten nader smutny nasuwa garść przykrych refleksyj: 1) Inteligencya nasza sama uczy chłopów w tym razie źle robić — ku naszej szkodzie. Wiele to mamy domów w Warszawie i w innych większych, lub mniejszych miastach, gdzie kłusownicy znajdują zbyt swojej zwierzyny, nawet w porze zakazanej (!) Gdyby ludzie inteligentni nie kupowali nigdy zwierzyny od chłopów i w ogóle od kłusowników, — kusząc się nieraz na niską cenę, lub — w porze zakazanej, gdy nigdzie po sklepach zwierzyny dostać nie można — na smaczny kąsek i w ogóle gwoli zadowolenia swej próżności i chęci chwalenia się przed drugimi, iż „nawet w tej porze zwierzynę na swym stole podają! (?) wtedy kłusownicy nie mając punktu zbytu swego nikczemnie nabytego towaru — nie tępiliby tak zwierzyny! To byłby najradykalniejszy na kłusowników sposób! 2) W tak wczesnej porze, gdy jeszcze u nas śniegu nie ma, kłusownicy już spustoszenia wśród zwierzyny czynią.

A więc tylko nieustanną i uporczywą walką z kłusownictwem możemy po pewnym czasie osiągnąć dodatnie rezultaty w naszej gospodarce łowieckiej, a walka z niem nie jest łatwą w obec lekkiej na kłusowników kary, o zmienienie której na sroższą nasze Tow. Myśl., tuszę, nie omieszka się starać.

Stefan Ostrowski.

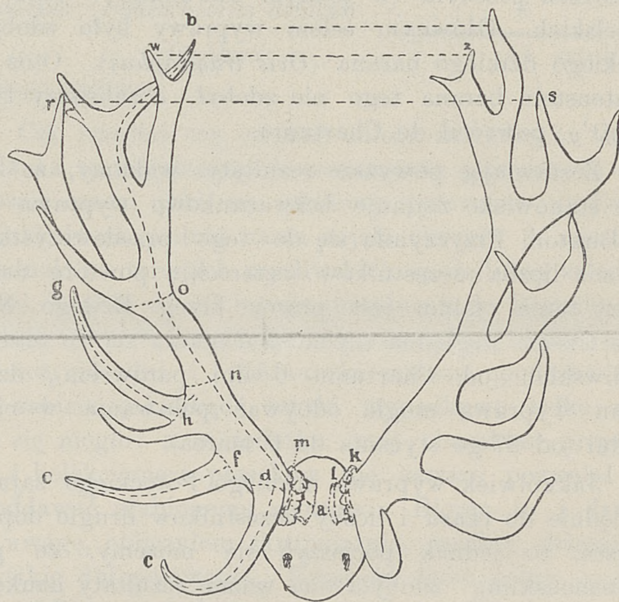


Wymiary wieńców i parostków.

Napisał A. hr. Sumiński.

Zdawałoby się, że to nic łatwiejszego, jak wymierzyć pień wieńca jelenia, lub parostki rogacza, a jednak kto tego nie umie, poda wymiary nietylko niedokładne, ale nawet wprost fałszywe. Niektórzy robią to w ten sposób, że mierzą długość odnóg, lub pni nie po krzywiźnie, lecz od końca odnogi do środka, skąd wyrasta, w linii prostej. Pan A. Mojsisovics, zmarły już myśliwy, doktor medycyny i profesor zoologii w Gracu, pomierzał w ten sposób, jak to widzieć można w jego broszurce. (*Biologische und faunistische Beobachtungen über Vögel und Säugethiere Südungarns und Slavoniens*). Jest to jednak wymiar niedokładny, nie zgadzający się z rzeczywistością. Gdyby bowiem pień wieńca był z materyi podatnej i dał się wyprostować w linię prostą, otrzymalibyśmy pomierzając te wymiary, które mamy mierząc po krzywiźnie. Odnoga mierzona po krzywiźnie, która ma przypuśćmy 43 cm. i to jest jej prawdziwa długość, mierzona systemem profesora Mojsisowicsa ma tylko 34·5 cm.

Mierzenie odbywa się za pomocą taśmy centymetrowej, o ile możności wąskiej, tak, aby szczelnie przylegała do krzywizny, a przy wieńcach, długości, łatwiej jest pomierzyć za pomocą czterech rąk, które się wzajemnie wspierają. Wieńce pomierza się wewnątrz, parostki zaś zewnątrz, co do długości dla obu pni. Przystąpmy do oznaczenia wymiarów wieńca, najpierw co do długości, następnie obwodów a w końcu rozpiętości. Długość wymierzam, przykładając taśmę w miejscu, gdzie się róża z guzem styka, i posuwając się po wewnętrznej stronie pnia w górę aż do końca najdłuższej odnogi w koronie (kielichu) od *a* do *b*; następnie długość odnogi ocznej, pomierzając po jej krzywiźnie do jej pow-



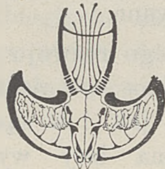
stania, a punkt ten początkowy znajdę, przedłużając pień po jej nasadzie linią idealną, aż do jej końca a więc od *c* do *d*. Tak samo mierzę odnogę nadoczną od *e* do *f* i w końcu średnią od *g* do *h*, naturalnie dla obu pni. Pomierzanie tamtym systemem byłoby od *u* do *t*, lecz to jest, jak już wiemy, mierzenie wadliwe. Obwód mierzę najpierw guza przy *l*, następnie róży, otaczając ją taśmą, aby ta szczelnie przylegała wszędzie do koła, przy *k*, obwód pnia nad różą przy *m*, dalej obwód tegoż nad odnogą średnią przy *n*, a w końcu obwód pnia tuż pod koroną przy *o*. Pozostają wymiary rozpiętości. Najpierw między pniami, mierzona w najszerszem miejscu od *r* do *s*, a można wymierzyć i odległości między odnogami koresponpującemi n. p. od *w* do *z* i t. d. Otrzymamy zatem dla długości cztery, dla obwodów pięć, dla rozpiętości jedną, a względnie więcej rubryk. Mierzenie pni z zewnątrz daje większą liczbę, n. p. pień liczący wewnątrz 112 cm., ma ich zewnątrz 113·5 cm., albo 96 cm. wewnątrz, 100 cm. zewnątrz i t. p. Można zresztą w rubryce długości pnia, umieścić liczby podające wymiary zewnątrz w nawiasie, pod liczbami miary wewnętrznej.

Wieniec			czternastaka	
ubitego			24/IX 1899	
Wymiary:			pień	
			prawy	lewy
Długość:	1	pnia	112 (113·5)	113·5 (115)
	2	odnogi ocznej	43	42
	3	odnogi nadocznej	32	35
	4	odnogi średniej	31	30
Obwód:	5	guza	17	17
	6	róży	25	26
	7	nad różą	24	24
	8	nad odnogą oczną	15	15
	9	tuż pod koroną	27·5	26
Rozpiętość:	10	między pniami	90	
	11	między odnogami koresp.	75	
	12	między odnogami	53	
	13	między odnogami	61	
	14	między odnogami		
	15			
	16			
Waga			9 kilo	
Uwaga:				

Przy wymiarze róży, lub pnia należy uwzględnić wybujałe perły i odjąć od cyfry obwodu róży, lub pnia tę ewentualną różnicę.

W końcu podaje się wagę wieńca. Dziewięć, dziesięć kilo i nad to, przedstawia już wagę wspaniałych wieńców starych byków. Naturalnie już preparowane, to znaczy czaszka bez skóry i mięsa. Ważenie samo odbywa się na dokładnej wadze. Chcąc przedstawić lepiej obraz wieńca, należy opisać perły, odnogi nienormalne lub odłamane, guzy, jeżeli ich więcej i t. p. W Bellye na Węgrzech, gdzie mają być najlepsze, a więc najtęższe jelenie, znajduje się odnoga szesnastaka, którą znaleziono, zrzuconą 20 lutego 1886 roku, która na odnodze ocznej, mniej więcej w środku, ma odnóżkę długości 8 cm. Jest to rzecz bardzo rzadka. Dalej znajduje się tamże nieregularny inny szesnastak, który prócz zwyczajnych guzów, na których ma wieńce, posiada jeszcze trzy inne guzy.

Wymiary parostków odbywają się w podobny sposób. Długość jednak pnia pomierza się z zewnątrz, a to dlatego, że wielka jest ilość parostków, zrośniętych wewnątrz u dołu. Mierzę zatem tak prawy, jak lewy pień, każdy z osobna od miejsca, gdzie róża z guzem się styka, po krzywiźnie do końca. Następnie długość odnóg, jak u jelenia. Dalej mierzę obwód róży, przykładając taśmę, aby przylegała do róży w koło, gdzie zaś te zrośnięte, mogę obliczyć obwód w przybliżeniu za pomocą cyrkla. Tak samo obwód guza i wyjątkowo grube pni nad różą i pod pierwszą odnogą przednią. Rozpięcie parostków mierzę w dwóch miejscach, raz w najszerszem miejscu, powtóre między końcami odnóg. Dla dokładności można podać i wagę, która w przecięciu wynosi 250 gr. Dla wyrazistości obrazu można opisać niezwykłe jakieś róże, perły wybujałe, odnogi, guzy, lub trzecie pni, których również wymiary się podaje. Opisy mykusów są znacznie trudniejsze i dlatego dobrze, gdy jest ich rysunek lub lepiej jeszcze fotografia.



Ładne polowanie, racyonalna hodowla i ochrona, pierwsze skutki lisiej wścieklizny w zwierzostanie lasów tołszczowskich.

Dnia 21-go grudnia odbyło się polowanie w lasach tołszczowskich dóbr JE. hr. Romana Potockiego. Wzięto ogółem 13 miotów, z których dwa ostatnie przypadły na klucz starosielski.

W 20 strzelb ubito: 15 rogaczy, 1 lisa i 92 zajęcy. Strzałów oddano przeszło 300. Rezultat jak na tutejsze stosunki pod każdym względem świetny, a byłby jeszcze o wiele korzystniejszy, gdyby lepiej strzelano. Szczególniej w pierwszym miocie strzały wcale nie dopisały myśliwym, gdyż na dwadzieścia kilka padł zaledwie 1 zając i zdawało się, że wskutek gęstej mgły, jaka wówczas istniała, zapanuje jakiś dzień feralny.

W następnych miotach szło już o wiele lepiej. Ledwie nagonka ruszyła, odezwały się zewsząd strzelby rozmaitego kalibru i systemu jak Piperówki, Teschnerówki, Hamerlessy Drillingi, a robiono z nich dublety, a nawet triplety z rozmaitym skutkiem. Las cały za-

grzmiał jakby podczas nieprzyjacielskiego oblężenia. Po pięćdziesiąt kilka strzałów padło w pierszym miocie, wśród których dusza myśliwska czuła się jakby w raju. W krótkim czasie sztreka myśliwska przybrała poważne rozmiary; na rozkładzie długim imponowały rogacze, przeważnie grube okazy, tak iż do dalszego transportowania zwierzyny musiano przyłączyć jeszcze drugą furę.

Polowano z dwoma nagonkami i wszystko szło jak w zegarku, z nadzwyczajną precyzyą i akuratnością. Ruch nagonki, szybkość po sobie następujących miotów, jednem słowem całe prowadzenie polowania było pod każdym względem wzorowe. Zasługa to miejscowego zarządcy i kierownika polowania, który swą staranną pielęgnacyą i ochroną, doprowadził zwierzostan w tych lasach do niebywałej przedtem świetności, a szczególniej stan sarn w lasach tych obecnie jest wspaniały. Nie było bowiem ani jednego miotu bez sarn; po kilka a nieraz i kilkanaście wypadało na jednego myśliwego.

Widzieliśmy tu także liczne tryzuby o niezwykłych rozmiarach, zaopatrzone skrzętnie koniczem i różnego rodzaju karmą, a obok tych piękne kultury modrzewiowe i dębowe, oplecione na całej przestrzeni chrustem, w celu ochrony od szkód wyrządzanych przez sarny. Tego rodzaju sposób zabezpieczenia winien być wszędzie zastosowany zwłaszcza w lasach, gdzie obok zwierzyny staramy się wychowywać i młodniki o szlachetniejszych rodzajach drzewa. Płoty takie robione z łat i chrustu, plecionego w kierunku pionowym, są stosunkowo nie drogie i lepsze, niżeli wszelkie inne sposoby dotąd praktykowane.

Do tak pomyślnego rozwoju sarn i zajęcy, przyczyniła się bezwątpienia w niemałym stopniu wścieklizna lisów, która tu jak i w sąsiednich lasach epidemicznie przed dwoma laty występując, prawie do szczętu je wygubiła. Różnice bowiem w zwierzostanie w porównaniu do lat poprzednich są tu już teraz bardzo uderzające; podczas gdy przedtem na jednem polowaniu padało zazwyczaj 8, 10, a niekiedy i więcej lisów i kilka lub kilkanaście zajęcy, stosunek ten od czasu wystąpienia tej epidemii, zmienił się na korzyść pożytecznej zwierzyny dzisiaj nie do poznania, a zachodzi jeszcze bardziej wpłynie dodatnio w latach następnych, naturalnie pod warunkiem, jeżeli temu rabusiowi, który z dalekich stron do nas nieustannie zachodzi, nie pozwolimy rozmnożyć się ponownie. Powinniśmy też wszelkimi sposobami, tę pomoc jaką nam przypadkowo w zagadkowy sposób, sprowadziwszy na lisy klęskę, użyczyła sama natura, wyzyskać i tępić tego drapieżnika nadal, a łatwiej nam to teraz pójdzie niż przedtem, inaczej cały owoc naszej pracy i zabiegów około podniesienia zwierzostanów, w stosunkowo krótkim czasie pójść musi na marne. a wtedy znowu, kołatać będziemy po lasach całymi dniami, gdzie oprócz lisa, który pokaże komuś kitę, innemu tylko mignie, albo gdzieś tam szczęśliwym tropem padnie i kilka marnych zajęcy i sarn przypadkiem zabłąkanych. nie ujrzymy nic więcej i wracać będziemy do domu z całym zapasem nabojów, rozczarowani.

To daremne! Kto bierze na polowanie pełną torbę nabojów i obdarzony jest nadto dobrą żyłką myśliwską, ten radby i strzelać, a jeżeli przypadkiem nie przyjdzie do strzału, zadowoli się już tym, że przynajmniej inni dosyć strzelali.

Hodując w sławie karpie, nie możemy równocześnie chować i szczupaków, choćby te ostatnie były nam nawet smaczniejsze, a wpuszczamy do karpiarni kilka szczupaków wyjątkowo tylko wtedy, gdy karpi już jest za dużo i zamiast samemu je wyłowić, pozwalamy to uczynić szczupakom, aby następnie mieć jedne i drugie. Postąpilibyśmy jednak bardzo nierozsądnie chcąc utrzymywać trwale tę mieszaninę, bo szczupaki z czasem wyżarłszy wszystkie karpie, nie mając dość pożywienia, wyniosłyby się albo do innych wód, lub jak to ma miejsce w zamkniętych sadzawkach, musiałyby zmarnieć tak, iż w końcu nie byłoby pożytku, ani z jednych ani z drugich.

Zupełnie tak samo ma się rzecz z lisami w miejscowościach, gdzie pielęgnować mamy zwierzynę tego rodzaju, jak sarna, zając, kuropatwa i t. p. inne. Te same przyczyny i prawa wywołują wszędzie te same skutki.

Przyroda wytworzyła najrozmaitsze jestestwa. Jedne stały się wynikiem i niezbędnym warunkiem bytu drugich, a skoro pewien gatunek przy sprzyjających warunkach weźmie zbyt górę i stanie się groźnym, różnicę tę prędzej czy później natura sama wyrównuje. Zupełnie jednak odmiennie rzecz się przedstawia, gdy chodzi o wychowanie pewnych specyalnych gatunków zwierząt czy też roślin, a człowiek protegując je w zamiarze, aby je obrócić na wyłączną swoją korzyść, nie może tego inaczej osiągnąć jak tylko w ten sposób, że stara się z jednej strony usunąć wszelkie czynniki gatunkowi temuż szkodliwe, a z drugiej przysparza i dodaje jak najwięcej czynników rozwojowi temuż sprzyjające. Wytwarza więc w ten sposób sztucznie pewną hyperprodukcyę gatunków, która stanowić ma jego dobro. I na tem jedynie polega cała hodowla.

Niektóre rodzaje zwierząt łownych jak n. p. wilk, niedźwiedź, a ostatnimi czasy dzik, lis, ustępywać muszą coraz więcej z pola, a to nie tyle wskutek niebezpieczeństwa, ale dlatego głównie, że byt tych zwierząt nie da się pogodzić z dzisiejszą kulturą i ekonomicznym postępem narodów.

Nie potrafimy wychować i utrzymać zwierzostanu na właściwej i odpowiedniej stopie, jeżeli nie pozbędziemy się takich głównych szkodników, jakimi są kłusownicy, myśliwi od kuchni i cała rzesza drapieżników i jeżeli oprócz tego, szczególniej w lasach racyonalnie zagospodarowanych, o drzewostanach prowadzonych gęsto i ciemno przeważnie wolnych od traw i rozmaitego zielska, przy ogrodzonych kulturach i młodnikach, a jeszcze mniej w okolicach co do urodzajności gleby uboższych i co do klimatu ostrzejszych, — nie postaramy się o to, aby skąd inąd zwierzyna nasza w różnych porach i miejscach znalazła podostatkiem pokarmu.

Intenzywne więc karmienie i ochrona, to dwa najważniejsze czynniki, zapomocą których możemy dźwignąć i utrzymać wcale ładny zwierzostan nawet w ta-

kich miejscowościach, które z natury rzeczy, posiadają warunki pod innymi względami mniej sprzyjające.

O dalszych środkach pomocniczych, które wpływają również dodatnio wspomniemy innym razem.

Suchodół, 23. grudnia 1901.

R. Kesselring.



Korespondencye.

Łańcut, 28. grudnia 1901.

Z korespondencyi w *„Łowcu“* z dnia 1-go grudnia 1901 pod tytułem „Tarnów 15-go listopada 1901“, wyczytałem i zauważyłem zdziwienie p. Narransa z tego względu, że na polowaniu we Wróblowicach padły 3 rogacze z parostkami.

Zdaje mi się, że to nie jest nic tak jeszcze nadzwyczajnego, zdybać o takiej porze rogacza z parostkami, a na dowód tego przytoczę fakt, którego byłem świadkiem osobistym, jaknajdokładniej widziałem i przekonałem się, a zdarzenie owo miało miejsce przed pięciu dniami zaledwie.

Przeganiając niewielki lasek za lisem, widziałem defilujące koło mnie na jakie 20 kroków raz kilka, a później znów kilkanaście sarn, pomiędzy którcmi jaknajdokładniej widziałem i poznałem 3 rogacze z parostkami i to jednego szóstaka, jednego spiczaka i jednego prędzej widłaka, niż szóstaka, a ten ostatni miał jeden róg „prawy“ czysty, zaś „lewy“ nieco niższy ale niewytarty, jeszcze omszony.

Okaz ten fenomenalny tłumaczę sobie w ten sposób, że rogacz ów, mając parostki oba jeszcze niewytarte musiał zostać postrzelonym w ten lewy róg właśnie, lub też może sam w jaki inny sposób uszkodził go sobie, i wskutek tego później „prawy zupełnie się wykształcił i oczyścił“, lewy zaś pozostał nikłym, niewykształconym i niewytartym, a w ślad zatem i z tej samej prawdopodobnie przyczyny „koronę“ rogacz ten nosi, nie oczyszcza jej i nie zrzuca.

Jako anomalię również podać mi wypada, że 25-go listopada r. b. przy polowaniu na zające, zastrzeliłem przepiórkę. Ciekawem jest, czy też przepiórka ta zdążyłaby była jeszcze za swojemi towarzyszkami do krajów południowych, — co było przyczyną tak spóźnionego odlotu, czy może to jedna z późniejszego lęgu, czy też może, smakosz jaki, dla dobrego i obfitego żeru, ociągała się i odlecieć nie chciała, dość, że chorą nie była, ani też gdziekolwiek bądź uszkodzoną, a nadto zupełnie wykształconą i dobrze oblaną. Przy tej sposobności miło mi podzielić się z Szanownymi Czytelnikami *„Łowca“* wrażeniami odniesionemi z tegorocznych polowań, jak i różnemi spostrzeżeniami, nabytemi w tym sezonie.

Zaczynam od początku roku myśliwskiego a więc od słonki. Z wiosną było tych uroczych ptaków miernie ale zato dłuższy czas ciągnęły i zawsze w niewielkiej ilości, tak że mniej niż zwykle ubito ich u nas, — i jesienią również nie było ich dużo; — ptactwa błotnego, a kaczek w szczególności było znacznie więcej, niż po inne lata, — ciąg dubeltów i kszyków niezły, a kto miał szczęście i trafił na ciąg tych ptaków, ten może wiele wspomnień i dni myśliwskich „szczęśliwych“ w dzienniku swym zapisać! Do tych szczęśliwców ja tego roku właśnie zaliczyć się mogę; — szczęście bowiem chciało — ale to dla myśliwego tylko, gdyż dla rolnika było właśnie klęską — że tu w okolicy naszej, było oberwanie chmury, wszystkie tedy okoliczne pola i łąki woda zalała i namułem zaniosła, a na tych niezliczona ilość rozmaitego ptactwa błotnego, a kszyków i dubeltów najwięcej, pojawiła się, tak że od dziesięciu lat z górą, nie pamiętam, aby kiedy tu u nas na błotach tyle ptactwa było. To też przez 2—3 tygodni mieliśmy tu dni nadzwyczajne i polowania błotne przewyborne.

Kuropatw tego roku było bardzo dużo, tak że niebyło nawet czasu wszędzie i wszystkie wiadome stadka spolować. Były dni gdzie w 2—3 strzelby strzelano 80, 90 i 110 sztuk kuropatw, a to jak na nasze stosunki i na Galicyę, zdaje mi się niezłym rezultatem.

Zajęcy, w terenach pagórkowatych, falistych i wyższych dużo, na nizinach mało, a tego przyczyną mokre zimy i jesienie lat ubiegłych, kiedy to dużo zajęcy na motylicę wyginęło, a nawet do dziś dnia jeszcze tu i ówdzie spotkać można zająca chorego lub też padłego na motylicę.

Wł. Lewicki.

Batiatycze, 23. grudnia 1901.

Polski i ruski Mikołaj rozdawszy dzieciom upominki — wrócili do niebios, a nam nasz patron nawet ponówki nie dał na św. wigilję, tak, że nie mogliśmy jej poprzedzić nawet bodaj małem polowaniem przed opłatkiem. Ale nie ma złego coby na dobre nie wyszło; kłusownicy są srodze ukarani, niemogąc mordować po ogrodach szaraków, łakomych na kaczany z kapusty i reszki ogrodowizny podczas księżycowych nocy.

Jakaś tajemnicza ręka sprawiedliwości prześladuje tych amatorów wolnego myśliwstwa, bo niżej podpisany dostał ich sześciu z bronią w ręku, a dzielny żandarm Opiela z Żółtaniec przyaresztował od razu dwóch niesumiennych kłusowników z zającem na gorącym uczynku. Następnie odkrył postrzelonego silniej kłusownika, który udawał inną chorobę przed lekarzem, a postrzelił go kolega, na amatorskiem polowańku, i mimo słabej nadziei pozostania przy życiu — wspólników wydać nie chce. Przez tego samego człowieka schwytanym został kłusownik w Dzibółkach, gdy skręcał kark złapanej w sidła kozie i to w uroczysty dzień św. Mikołaja, w chwili odprawy w cerkwi.

I tak noc i dzień trzeba się opędzać. Za marny grosz, pół kwarty wódki, mordują co pod lufę wpadnie

bez miłosierdzia, a usłużni żydkowie ukryć pomagają. Charakterystycznem jest, że do innej pracy, choćby z dobrym zarobkiem formalny wstręt mają. Bezśnieżna zima ratuje zwierzynę od sideł, w których nim życie straci męczarnie przechodzi straszne, a ocenić potrafią ci, co widzieli podobne wypadki.

A teraz nasuwa się pytanie: jaka kara za to? Oto kilka dni aresztu, a ile to terminów, jazd, nieraz do kilka mil oddalonego c. k. sądu, a jeżeli złodziej dobrze umie kłamać, wychodzi wolny, drwiąc z obszarnika i ustawy. Jeszcze jedynym ratunkiem i pomocą jest żandarmerya. Ci panowie jeżli gorliwie pełnią służbę, wiele pomódz mogą. Stosunkowo mała ilość posterunków. Ludzie ci są przeciążeni pracą i właśnie w tej chwili mam przykład, gdzie żandarm 78 godzin był w służbie, zrobiwszy około 8 mil piechotą po błocie, a jednak na wszystko jest, ale na to, co stanowi dziś w tak niepewnych czasach, jedyne bezpieczeństwo mieszkańców wsi, na to nie ma. Widzimy bowiem z praktyki, że gdzie jest bodaj pojedynczy posterunek, mieszkańcy śpią spokojnie, stając się mili Bogu i ludziom.

By zakończyć rok stary z sąsiadem p. Muchowskim z Dalnicza wzięliśmy parę miotów, oprócz gęsto zmykających szaraków widzieliśmy kilka dużych stad kuropatw i cietrzewi, a w oczach naszych, koza leżąca przed samą linią, zerwawszy się przed nadchodzącymi chłopakami na czystym zrębie o wystający stary pień, zabiła się na miejscu.

Kończąc ślę szanownej Redakcyi i wszystkim, co nic żałują kosztów i pracy, by bodaj w części chronić to cenne dla nas myślistwo krajowe od zagłady, przez ludzi złej woli, serdeczne szczęść Boże przy opłatku.

Wytrwajmy, a pokonamy złe.

Tadeusz Romanowski,
delegat żółkiewski.

W wigilję Bożego Narodzenia odbyło się maleńkie polowańko w Milatynie. Na dane hasło zebrała się drużyna w komplecie, pomimo brzydkiej pogody. Miły i uprzejmy, o tradycyach staropolskiej gościnności gospodarz, pamiętając o swych gościach, umiał tak doskonale zainteresować wszystkich, że doprawdy nie czuło się tej całodziennej słoty. Ponieważ polowanie w Milatynie odbywa się zwykle przy współudziale dobrych strzelców, dla tego Szanowny gospodarz podniósł myśl, aby każdy strzał był płatny małym datkiem na Wrześnię. Ja w dobrej wierze zaproponowałem, by każdy chybiony strzał Wrześni datek zaniósł. Propozycya moja się utrzymała, to też kiepsko wyszedłem na tej niefortunnej propozycyi, bo mi kazali zapłacić za dwa — niby to — pudła, chociaż mam świadków, że po pierwszym strzale zając rulował, a po drugim się wywrócił, a ponieważ nie wypada jakoś schodzić ze stanowiska, więc ów zając się gdzieś zawlókł i przepadł nim pędzenie się skończyło. Na moje argumenta i dowody, że przecież strzały były celne, bo zając rulował, twierdzono, że z powodu słoty mógł się ów zając poślizgnąć i upaść. Więc nie ma apelacyi, płacić trzeba, to też odsyłam zebrane pudła w kwocie 3·20 koron na Wrześnię i proszę w najbliższym N-rze zapytać Szanownych współwyznawców św. Huberta, czy jest możliwość, aby zając wskutek słoty mógł się poślizgnąć i upaść?

Do jakich nie zwykłych rezultatów doprowadzić może zamiłowanie i znajomość myśliwstwa, niechaj posłuży dowód w Milatynie, gdzie przed 6-ciu laty padło około 18 zajęcy, dzisiaj pada w sezonie 100, nie licząc trofeów w grubej zwierzynie. Jest tutaj dalej piękne polowanie na ptactwo lotne jak: kuropatwy, bażanty, słonki, kwiczoły etc. Lecz zważyć należy, że dawniej w gminie każdy chłop, jeżeli nie strzelbą to sidłami, później psy i lisy, a wreszcie jastrzębie dzieło zniszczenia w zwierzynie dokonały. Dzisiaj w Milatynie tych wszystkich kategoryi rozbójników się nie widzi, to też zaproszeni z niekłamaną przyjemnością dążą do Milatyna na tak miłą rozrywkę. Sympatyczna myśl p. Wład. Sołowija w N-rze 24 „*Łowca*“, powinna znaleść posłuch u wszystkich szczerych miłośników mowy ojczystej, gdyż błąd używania obcych, a przedewszystkiem niemieckich wyrazów, nie powinien zaszczycać naszej mowy, lecz niestety rozwielmożnił się strasznie w naszem społeczeństwie, dla tego uwaga p. Wł. Sołowija jest bardzo na czasie, tylko w szerszym zakresie.

Jeden z uczestników polowania w M.

Tarnów, 20. grudnia 1901.

Z powodu zmiennej aury i niestosownego do łowów czasu. wstrzymywano się w tut. powiecie od polowań. Dopiero w połowie grudnia b. r. gdy się przekonano, że koń św. Marcina, na którym zwykle uroczyście wjeżdża na ten padół płaczu i rwania zębów (by nimi zgrzytać nie można) zaniemógł i ziemia nie może się w tutejszym powiecie doczekać szaty niewinności — posiadacze prawa polowania zaczęli z gorączkowym pośpiechem urządzać polowania, zwłaszcza, że cena na szaraki strzelane legalnie, a nie kradzione, doszła do 2 koron 60 h. za jedną sztukę.

Wyobraź sobie, Szanowny druhu po rusznicy, plejadę zaproszeń — gdyby cię geometra autoryzowany rozparcelował, nie wystarczyłyby cząstki na wzięcie udziału we wszystkich na jeden i ten sam dzień oznaczonych polowaniach. To też wzgląd na spodziewaną ilość zwierzyny, uprzejmość i pobłażliwość gospodarza łowieckiego na pudła odgrywa rolę i tam kieruje kroki zaproszonego Nimroda.

Nic też dziwnego, że na polowanie w dniu 17 i 18 b. m. odbyć się mające w rewirze Bielcza, należącym do skarbu Radłów, znanego zaszczytnie z urządzanych tam łowów, pod kierunkiem nadleśniczego p. Karola Scherautza pospieszyło z zaproszonych gości, 17-tu myśliwych, którzy w dwóch dniach, przeważnie w polach pozostawili na rozkładzie 40 szaraków i 2 mykitów. Liczba ta nie imponuje wcale, bo przed laty padało w tym rewirze 5 razy tyle, gdy się jednak zważy, że w okolicy powiatu tarnowskiego ilość zajęcy z każdym rokiem maleje i może dojść do tego, że niewolnik św. Huberta będzie zadowolonym, gdy zobaczy tylko na myśliwskiem zaproszeniu wymalowanego szaraka — ilość strzelanej dnia 17 i 18 b. m. zwierzyny przy akompaniamencie deszczu i wichru zaliczyć należy do dobrych.

O polowaniach w najbliższej okolicy Tarnowa, gdzie zwierzyna otaczaną bywa wielką troskliwością — trzyma się straż łowiecką etc. wolę zamilczać, bo jeżeli